Rozmaitości

Dnia 2. Lipca **Nr 27.** 1836 Roku.

## DWIE NOCY W RZYMIE.

### NOC PIÉRWSZA.

Przed nie wielą laty na ulicy *Petits Augustins* zwracała uwagę wązka kamienica o kilku nierównych oknach, z wystawą i napisem złoconym nad bramą, gdzie teraz trójkolorowa chorągiew powiewa; obok stał dom inny, z innym napisem, i także z chorągwią. Piérwszy napis brzmi: *Ecole royale des beaux arts;* a drugi: *Mont de Piété*... Jak szczególne sąsiedztwo tworzą te dwa obok siebie stojące, ponure domy, te dwa napisy, które jakby do jednego wiérsza należały, te dwie chorągwie, które za każdym powiewem wiatru, w jedność spływają; tam sława, tu nędza.

Czyjaś pobożna ręka, jak w obszérnym grobie, złożyła zwietrzałe szczątki starożytnéj sztuki i poezyi francuzkiéj pod témi sklepieniami, gdzie w dniu tym, o którym tu mówimy, w r. 1825, przyznawano zaszczyty i sławę. W obszérnéj sali przed dwudziestoma w jednym rzędzie zawieszonémi obrazami, przechadzali się artyści, ciekawi cudzoziemcy, i oddawali niektórym obrazom to pochwały, to ich mistrzom wróżby pomyślnego na przyszłość udoskonalenia się. Roczniki nagród zachowały pamięć wrażenia, jakie podówczas jeden z obrazów sprawiał; chociaż dzieło to ręką mistrzowską na płutno rzucone nosiło jeszcze cechę niewykończenia; byłto już wyraz silnéj myśli, jenijalny zarys; prawie skica, a przecież ucznie, artyści, znawcy zatrzymywali się przed tym obrazem, i wszyscy milczeli z podziwu. Patrzyli nań mistrzowie, i byli zdumieni. Tylko jakiś młodzieniec, prawie jeszcze chłopię, stał o podal, i zdawał się być pomieszany tém ogólném zadziwieniem, które obraz ten sprawił.

»Twojeżto dzieło, mój przyjacielu?« rzekł Gros, uderzając go z lekka po ramieniu.

»Moje,« odrzekł młodzieniec nieśmiało, »ale nie miałem czasu do wykończenia...«

»To mniejsza, przecież on lepszy nad inne. Musisz mi jechać do Rzymu. Walnyś młodzieńcze, masz rzadki talent. Jakże się cieszę tobą!« to mówiąc podał mu rękę.

»Dzięki ci mistrzu,« rzekł chłopiec, i rękę malarza z całym zapałem wdzięczności, ze łzami w oczach do serca przycisnął: »Dzięki! pochwała twoja więcéj znaczy, niż największa nagroda...« Wośm dni potém pojechał młodzian do Rzymu.

Rzym! ten przedmiot wiecznych marzeń poetów i artystów, ta szczytna księga wieków, gdzie każde stolecie znamiona swoje w głazach wyryło. Rzym! który mu dotąd w mglistém tylko stawał oddaleniu, a teraz on go obejmie zmysłami, będzie w nim czuł, oddychał, żył, i stanie się malarzem. Czémże dla niego rozkoszne widoki Francyi, cieniste wzgórza, srébrzyste wstęgi strumieni, zaludnione miasta, czém Marsylija pełna pamiątek Grecyi i Azyi, z całym zgiełkiem lewanckiego handlu, z swojém Sródziemném Morzem i zalatującém włoskiém powietrzem? Wszystko, jakby słupy przydrożne, obojętnie znikało mu z oczu. On tylko Rzymu pragnął, Rzymu wyglądał... Rzym zajął każde uniesienie młodzieńczéj jego duszy. Widział go za każdą górą, za każdym laskiem, widział go w szczytach dzwonic kościelnych każdego miasteczka.

Dzień upragniony nadszedł; młodzieniec wjeżdżał przez *Porto del Popolo*. Niemo, jak cień olbrzyma, rozcielał się w pomroce wieczornéj Rzym na siedmiu swoich wzgórzach. Jeszcze dzisiaj chciał on przebiedź wszystkie ulice jego, i przy nocnym blasku napatrzéć się

jego piękności; natychmiast wyszukał przewodnika, i kazał się do *Coliseum* prowadzić. Zabawiwszy do sytu w téj olbrzymiéj ruinie, która w ciemności, obłęcznym ogromem swoim jeszcze się powiększając, na błękicie włoskiego nieba dziwnie się pięknie odbijała; zapuścił się znowu w błędniki cichych ulic, gdzie stały nowsze pałace. Cały ruch, wszelkie życie stolicy, zdawały się zléwać w jedno ognisko, w teatrze *Argentina*. Na marmurach pałaców odbijały się blaski drzących pochodni, z którémi przemykały łoskotne powozy magnatów rzymskich i cudzoziemców, spieszących tłumnie, aby piérwszą spiéwaczkę oklaskami osypać: »Mości Francuzie, oto jest teatr *Argentina*,« rzekł przewodnik, »signora Coronari spiéwa dzisiejszego wieczora; — signora Coronari, gwiazda Rzymu, Medyjolanu i Neapolu! *prima donna* Italii!«

Młodzieniec wszedł i upajał się owemi kwiatami, ową wonią, ową harmoniją w blasku tysiąca świateł, i już zachwycony tym urokiem, jak rodowity Rzymianin, sypał z uniesieniem oklaski pięknéj *prima donnie*, jéj grze, jéj ruladom w aryjach Rossyniego. Podczas jednéj kawatyny, w któréj czarodziejska spiéwaczka z całym włoskim, zalotnym urokiem dobyła wszystkich źródeł swego bogatego głosu, wzrok młodego Francuza, pobieżawszy przypadkiem w koło sali, zawisnął na prześlicznéj, zasępionéj twarzy pewnéj damy, która się z loży, będącéj na przeciw niego, ku scenie wychyliła. W artyście zawrzały niepojęte, gwałtowne i chyże, jak miłość, namiętności. Byłoto głębokie, nader mocne wzruszenie, które przejęło malarza w téj chwili, gdy okiem o twarz téj pięknéj kobiety zawadził. Rzym, opera, *prima donna*, sala oklaskami brzmiąca, wszystko się w nim wirem potoczyło, wszystko ustąpiło przed jednem obliczem, które z rozmaitą zmianą wyrazu w szlachetnych rysach, coraz cudniéjszą pięknością świéciło. Jéj lice byłoto uśmiéchające się, kapryśne, szczęśliwe, jak Rossyniego akordy, to znowu, kiedy ponury, smutny, dźwięk z orkiestry zabrzmiał, kiedy chromatyczna modulacyja tonów z ust *prima donny* wypłynęła, jakieś widoczne drzenie objawiło się w oczach lub na czole téj uroczéj damy, i wnet gubiło się, jak ostatnie drzenie akordu, w tłumie innych nawałem przemijających uczuć. Lecz kiedy już wszelka harmonija, oprócz głuszących okrzyków, ucichła w sali, kiedy zasłona spadła, młodzieniec, jakby przebudzony po śnie czarownym, wpatrzył się w twarz nieznajomego anioła, który, będąc w walce jakiéjś tłumionéj trwogi, powlekał się bladością; odgadł on wieszczym umysłem artysty, że to jakaś ciérpiąca dusza, przewidująca swoje blizkie, nieuchronne nieszczęście. Nieznajoma, oparłszy się na ramieniu mężczyzny, ukrytego w cieniu loży, powstała ku odejściu, i w ostatnie spojrzenie zebrała wszystko, co w sercu nieszczęśliwych odzywa się dla tych, co litość mają nad nimi; takie spojrzenie, niby pożegnalne, zwróciła ku młodzieńcowi, potém wzniosła oczy do nieba, jakby go o jakąś pomoc wzywała.

Mimo natłoku wychodzacéj publiczności przebił się on aż do wschodów przedsionku; jakiś powóz szybkim pędem ruszył z miejsca, a jemu zdawało się widziéć przez szyby powozu, przy blasku pochodni ową twarz bladą, ciérpiącą i piękną. Nie długo, powóz skręcając na inną ulicę, zniknął mu z oczu, młodzian, biorąc za przewodnika kół turkot, puścił się za nim w ciemnych, opuszczonych ulicach, a potém, po daremnéj pogoni, śmiejąc się z własnego szaleństwa, ujrzał się w nieznajoméj stronie miasta.

Całą godzinę błądząc i szukając drogi do powrotu, zmordowany i znużony, stanął na jakimeś placu, na którym pół rozwalony wznosił się pomnik, i tam zamyślał resztę nocy przepędzić. Jakoż nie długo dumając, oparł się o głaz, i już uczuł, jak twardy sen obejmował jego zmysły, gdy w tém głos nieznajomy szepnął mu w ucho: »Czyto wćpan jesteś?« — »Ja!« odpowiedział mimowolnie, i nim jeszcze się opamiętał, już pół-rozespanego porwano, zasłoniono mu oczy, związano ręce, i tak wsadzono w zakryty powóz, który szybko z miejsca pospieszył. Bolesne rozmyślania, szalone marzenia, dziecinne obawy miotały nim w czasie téj podróży.

Powóz zatrzymał się; ci dwaj nieznajomi, którzy mu wysiąść dopomogli, nieśli go przez długie, chłodne, marmurowe galeryje, przez ogrody; co wszystko poznał po świeżéj woni kwiatów i po odgłosie stąpań w galeryjach sklepionych. Nakoniec kiedy mu rozwiązali ręce, i zawiązkę z oczu zdjęli, ujrzał się w sali tak ustronnéj i zamkniętej, że żaden zgiełk zewnętrzny nie mógł do niéj doleciéć; po-

nure obicia na ścianach, sprzęty staroświeckie, mdlejący blask lampy na marmurowym stole przy kominku; wszystkoto malarz jednêm objął spojrzeniem, i nie mógł pokonać wrażenia trwogi. Przed kominem stał mężczyzna słusznego wzrostu, z twarzą ukrytą pod czarną, axamitną maską. O kilka kroków od niego leżała na łożu, czarną zasłoną okryta niewiasta, tuląca do piersi małą uspioną dziewczynę. Tylko oddech spiącego dziecięcia i jednostajny ruch wahadła zegaru przerywały to grobowe milczenie.

Ci dwaj, którzy porwali malarza, również zamaskowani, stali tuż za nim.

»Panie,« rzekł jeden z nich, »otóż on!« nic nie ruszyło się w sali, krom mężczyzny przy kominie, który zwolna zbliżył się do Francuza, wziął go za rękę i zdrętwiałego przy chwiejném świetle lampy do łoża przyprowadził.

»Ta kobiéta umiéra!« rzekł zwracając się do malarza, i wpatrzył się weń przez swoję maskę... Tu z głębi piersi wydał okropne przekléństwo, i odepchnął go gwałtownie; oko jego zaiskrzyło się pod maską: ›Cóżeście uczynili?« krzyknął na ludzi, »wszakto nie kapłan!«

Słudzy poskoczyli naprzód, a nieszczęśliwy młodzieniec uczuł na piersi zimne ostrze dwóch sztyletów, oczekujących tylko na skinienie pana.

Zakwefiona niewiasta ruszyła się na łożu, i przycisnęła dziecię do łona.

Zamaskowany mężczyzna, po krótkiéj chwili śmiertelnego oczekiwania, odwrócił skinieniem gotowe do przebicia sztylety, których ostrza, za każdém uderzeniem serca, wznoszącej się piersi młodzieńca, dotykały. Wszelki opór, wszelkie narzekania były tu daremne.

»Kto jesteś?« rzekł żywo przytłumionym głosem zamaskowany.

»Jestem Francuz i malarz.«

»Cóż tu robisz?«

»Zabłąkałem się na ulicach Rzymu, i usłyszałem, jak mię ktoś zapytał: »Tyżeśto?« w nadziei, że mię z obłędu wyprowadzi, odpowiedziałem: »Ja!«

»A zatém nie znasz Rzymu? Jak dawno tu bawisz?«

»Od wczoraj wieczór.«

»Dobrze!« rzekł i odetchnął głęboko. »Musisz umrzeć panie Francuzie!«

»Boże! pociesz moję biédną matkę!«

»Stój!... Jeżeli mi przysięgniesz na swój honor, na swoje życie, na swoję matkę, że jeszcze dziś przede dniem Rzym, i Włochy opuścisz, i nie wrócisz nigdy; jeźli przysięgniesz, że o wszystkiém będziesz milczał jak grób, że przed nikim żywym nie powiész coś dzisiejszéj widział nocy, zostawię cię przy życiu. Jakże? Przysięgniesz?«

Malarz westchnął i zawołał: »O Rzymie! Rzymie!...«

»Spiesz się!«

»Przysięgam!!«

»Zawiążcie mu oczy. Jeźli kiedykolwiek staniesz się wiarołomnym — przysięgam, że cię znajdę i zemszczę się wiarołomstwa twego; weźto sobie mocno do serca, jam nigdy przysięgi nie złamał!« to mówiąc wyciągnął rękę ku niewieście, która się konać zdawała.

W trzy godzin potém, zaledwie co świtać zaczęło, już artysta nasz był w drodze do Paryża. (Dokończenie nastąpi.)

## DO NIEMNA.

SONET A. MICKIEWICZA.
Przekładania Tomasza Padurry
na ruskie narzecze.

Niemne, domasznia riko moja! de ti wody,
Kotri kolyś czerpawem w dytyni dołoni,
Na kotrych potim w dyki pływem ustoroni
Nyspokijnomu serciu szukaty prochłody?

Tut Laura, pryhladawszyś tini swéj urody,
Lubyla kosu plesty i kwiczaty skroni,
Tut jej twar, odbytu w sribrnych fil prohoni,
Ny raz mywem ślozamy hulaka molody.

Niemne, domasznia riko! dežto tamti zdroji,
A z nymy tilky szczastia, tak syła nadii?...
Dežto jest myle litok dytynich wysile?

Dež mylszi hrajuszczoho wiku nypokoii?
Dežto jest Laura moja, moii pryjatile?
Wse perejszło... czomuž ślozy ny projdut mojil

## OLBRZYM SKALDY.

Z Buschmana.

(Dokończenie.)

Byłoto podczas pięknéj nocy r. 54 przed Narodzeniem Chrystusa; przy pogodzie nieba, przy uciszonem powietrzu, łódź jakaś, podobna do tratwy obitéj plecionką z wikliny, pokryta skórą z wołu, spuszczała się powoli z biegiem Skaldy. Z łodzi głos jeden się rozchodził, głos niewieści słodki i pieściwy.

»Tak Atawixie,« mówił głos, »dla ciebie przestąpiłam próg ojcowskiego mieszkania, zbiegłam z gęstych puszcz Galii, mojéj ojczyzny; dla ciebie wyrzekłam się wszystkiego; albowiem ty jeden Atawixie, posiadasz miłość moję, ty bardzie z brzmiącą arfą, która drzémie strunami obok ciebie.«

Drugi głos na to odpowiedział: »O Frego, od chwili, w któréj oczy twoje spotkały się z mojémi, arfa wieszcza zapomniała swoich dźwięków, a dusza barda nie pamięta żadnéj pieśni, które jéj niegdyś szeptał Ogmius, kiedym go ubóstwiał w gajach; Ogmius, bóg bardów, otoczony rzeszą, któréj uszy przywiązane są do łańcuchów z bursztynu i złota, wychodzących z ust bożka!« Łódź płynęła z prądem.

Nagle fala burzy się i pieni, jakby jaka potwora morska wynurzyć się miała nad jéj powierzchnię; jakiś szum, jakieś przytłumione dychanie rozległo się podobne do wiatru jesieni, szumiącego po gałęziach nagiego boru; i nurt wre coraz bliżéj i oddech szumi coraz mocniéj. W tém przy bladém miganiu promienia księżycowego, który wyzierał z krańców osrébrzonego obłoku, postrzegł strwożony Atawix z Fregą, idącego ku nim, i buchającego wodami w szybkim swoim pędzie, niezmiernego olbrzyma. Woda rzéki dostaje mu aż do szérokiéj piersi, opasując go śnieżnym sączącym się pasem piany. Gęsta broda spada mu z groźnéj twarzy, a twarde i czarne kołtuny wiją się około głowy. Zgoła podobien był do owych skał samotnych, które wiszą nad brzegami Oceanu, które grożą co chwila upadkiem, i moczą w wodzie końce długich chwastów spływających jak warkocze.

Łódź zatrzymała się nagle, trzeszcząc już pod palcami olbrzyma. Okropne wycie wydobyło się z jego wydętéj piersi, a potém wyszedł głos, który z łoskotem piorunu te wyrzucił słowa: »Aha! moi nocni pielgrzymowie! myślicie, że Antygon zamrużył oko, i że wam się uda przekradać rzékę w ciemnościach! gdzie są troje wołów dla mnie na wieczerzę?«

Frega ze drzeniem tuliła się do Atawixa, a on milczał i długiego dobył miecza.

Olbrzym znowu tak mówił: »Nadmijcicż wasze piskliwe głosy, moi wy karłowie, jeżeli chcecie, aby was usłyszało ucho Antygona.«

»Przebacz nam, jeżeliś jest bogiem téj rzéki,« odpowiedział Atawix; »jeźli zaś nim nie jesteś puść więc w pokoju biédnego barda, służącego Ogmiusowi; puść go w imię wielkiego Hesu, Teutatesa i wszystkich bogów!«

»Jak widzę drwisz sobie,« odpowiedział olbrzym z dzikim zgrzytem. »Patrz, ja szydzę z Teutatesa i z wszystkich bogów. Widziałeś kiedy, te twoje bogi? A jeżeliś widział, sąż oni roślejsi od was, porończego plemienia, którego całe pułki deptałbym nogami? Ach? owi wasi bogowie! dawno już byłbym pobrał ich z nieba i bawił się nimi wieczorem na mojém pustém brzegu, albo pożarłbym ich — gdyby byli czém więcéj, niż czczym dymem waszych muzgów!«

»Któż jesteś, co się z bogów naśmiéwasz?«

»Kto jestem! kto jest Antygon?! Chciałbyś w pole wywieść Antygona? Jakto, zapominasz, żeś winien haracz trojga wołów za przebycie rzéki? Chciałeś mię oszukać, korzystając z cieniów nocy, a teraz bierzesz się na dziecinne wybiegi! ho! ho!« I olbrzym objął Atawixa dłonią swoją potężną, że ani drgnąć nie mógł. Frega, trętwiejąca od strachu, padła na kolana w łodzi.

»Przebacz mu, przebacz Atawixowi!« zawołała dziewica. »Och przebacz! Cóż tobie potężnemu szkodzi, że my płyniemy wodą, my słabi, my bez złego zamiaru, my dwoje kochanków. Przebacz! o nieba, czyż twoja dusza nie skłoni się do litości?«

Olbrzym przerwał jéj szyderczym chichotem: »O duszy mówisz... o mojéj duszy! któż ci powiadał, że we mnie jest dusza? Kto kiedy widział duszę? Wierzaj słowom olbrzyma: Nie masz duszy, ani bogów, ani myśli; nic, nic krom materyj... i głodu!«

To rzekłszy olbrzym we dwóch żelaznych swoich palcach ścisnął rękę Atawixa, i ręka w łódź upadła wraz z mieczem, który trzymała... Wrzask się rozległ okropny, i zmieszał się z dzikim śmiéchem. Olbrzym podniósł rękę skrwawioną, i do rzéki cisnął. Potém, kiedy już miał porwać Fregę strętwiałą i bez znaku życia, Atawix, uwolniony od strasznych klészczów olbrzyma, pozostałą ręką chwyta za miecz, i po jelce topi go w ramieniu Antygona.

Rykiem boleści zawrzały odgłosy obu brzegów. Księżyc wypłynął jaskrawy i czysty z łoża obłoków, i promieńmi swémi strzelał po obliczu wód, pomarszczonych lekko wieczornym chłodem.

Łódź niehamowaną niczém prąd unosił; uderzenie o skałę podwodną przywołuje do zmysłów Fregę, która z trudnością powstała na kolana i w znacznéj odległości postrzegła widok okropny: Olbrzym szarpał wściekle ciało Atawixa. Frega przypełza, z twarzą bladą, osłupiałém okiem aż nad krawęź łodzi, wyciąga szyję, coraz wychylając się więcéj, jakby pod wpływem jakiegoś niezwyciężonego pociągu; tak przez chwilę spogląda podana naprzód, bez jednéj łzy w oku, bez jednego w piersi westchnienia, potém ugięły się jéj ręce i — stoczyła się w rzékę.

W rok po téj nocy, wolność Gallów konała pod stopami Cezara. Siła, odwaga, bohatérski upór wielkiego ludu, którego przodkowie puszczając zagony po całéj Europie, obozowali także na zwaliskach Rzymu, uległy teraz powodzeniu oręża i jeniuszowi zwycięzcy. Belgija siedlisko odwieczne dusz swobodę czczących, została zalaną trzema wojskami rzymskiémi, które przeciągały przy blasku pożarów; a mosty rzucane przez Skaldę torowały im drogę do krainy Menapiów.

Pewnego razu kohorta oderwana od legionu, straż przednią trzymającego, postępowała brzegiem rzéki, za przewodnictwem, jak mówią, jakiéjś tajemniczéj istoty. Słońce po dwakroć już zaszło, a kohorta nie wracała z wyprawy. Oddział jazdy giermańskiéj, wysłany w jéj ślady, zatrzymał się koło północy i był świadkiem osobliwego widowiska.

Obszérne łuno płomieni, wichrzonych wiatrem, trawiło do szczętu węgły wieży, która broniła zamku, wznoszącego olbrzymie swoje mury. Ziemia oblana blaskiem pożaru i wszędzie poryta, zasianą była trupami żołnierzy rzymskich, zbrojami i szczątkami ciał. Pośród nich, na stosie trupów, leżał rozciągnięty, bez ruchu, okryty blizną, najeżony strzałami, tułów olbrzyma; z potężnego, odciętego ramienia płynął po ziemi z brzydkiéj rany potok krwie czarnéj, a na głowie jego siedział wojownik.

Po krótkiéj chwili rozwarły się powieki olbrzyma; wojownik powstał nagle, a odgarniając z bladego i pięknego oblicza swego długi włos powiewny, zdało się, jakby okiem nabiérał świéżego i nadzwyczajnego blasku, potém przymknął się do ucha poczwary, w które te rzucił słowa:

»Antygonie, Antygonie... niegdyś trzeba było nadymać piersi, aby ucho twoje słyszało głos ludzki? a teraz!... Słuchaj coć powiém: Antygonie! o jeszcze dość zostało ci życia, abyś mię zrozumiał i przypomniał sobie... Będzie rok temu, jednéj pogodnéj nocy... Prawda prawda, rany twoje szérokie i krwią kipiące, a jednak miłe oku mojemu!... Pamiętasz, jednéj nocy w lecie, dwoje kochanków płynęło tym strumieniem. Wtedy gniazdo twoje nie było tak oświécone jak dzisiaj... Dwoje kochanków pamiętasz! dwoje kochanków, mówiących tylko słodkiémi myślami. Patrz, patrz, jak tu dobrze przeglądać się w źwierciedle krwie twojéj!... kochanek był bardem, ubogim bardem... Ach! ach! umiérające oczy twoje łyskają blaskiem życia. Zabiłeś go, zabiłeś... A ona... Lecz gdzie są Antygonie straszne twoje ręce?... A ona, kochanka, ta biédna kobiéta... rozumiész! żyje... i mści się!!«

Drészcz śmiertelny przebiegł po cielsku olbrzyma, i ryk chrapliwy wydobył się z piersi; szczęka dzwoniła o szczękę zębami, jakby ścinające się miecze; oczy zatoczyły się raz jeszcze w krwią zaciekłych powiekach i zamknęły się... olbrzym już nie żył.

Frega uklękła i modliła się.

* * *

Na tém miejscu powstała Antwerpija. *Antwerpen* jestto wyraz z języka staro-flamanckiego, który zachował tak żywo barwę swoję pierwotną, i tok saxoński. Kronikarze znajdują wyraz ten złożony z *Hand* i *werpen*, *ręka* i *rzucić*, ku pamiątce olbrzyma Antygona, i rąk rzucanych w Skaldę.

Szał szpéraczów i erudytów inne z téj nazwy wyprowadza wnioski. Divoeus powiada, iż to było miasto Ambiwaritów. Inny znowu Guicciardin utrzymuje, iż Antwerpiję założył jakiś Ansbertus, senator rzymski, i aby wmocnił powagę swego twierdzenia, dodaje, iż Justynian zrobił go margrabią.

Bądź co bądź, olbrzym ucinający ręce, przeszedł do gminu w Antwerpii, wraz z legendą, która od wieków przechowywała się z pokolenia do pokolenia, a nawet odbiła się na fizyjonomii miasta. Jakież są herby Antwerpii? oto zamek najeżony uciętémi rękami. Cóż jest ozdobą jéj uroczystości? oto niezmierny olbrzym z papiéru, przeprowadzany po jéj ulicach w orszaku Amfitryty, składa-

jącego się z wieloryba, ciskającego wody do okien, z okrętu, napełnionego majtkami, potworami morskiémi, osobami symbolicznémi, rojem trytonów tam i sam igrających. Zaiste, nie jestto żaden ustęp, pożyczony z powieści średniego wieku; parę temu miesięcy, jak ogłoszono w afiszach na murach Antwerpii zjawienie się olbrzyma, w jedném z tych dni prostéj gminnéj wesołości, i szalonych uciech ludu; przytém zajęto się starannie naprawą licznych uszkodzeń, w tym osobliwym trzech wieków pomniku wyrządzonych przez zuchwałe szczury, mimo całéj jego marsowéj postawy i groźnego ogromu.

Przypuściwszy nawet, że to podanie jest tylko wymyśloną bajką, dla czegoż mielibyśmy dla takiéj drobnostki wydziérać jakiemu plemieniowi wszystko, co mu z jego przeszłości zostało, to jest — wspomnienie?... Dla czegoż, kiedy babka powieściami swojémi zachwyca grono łatwowiernych i ciekawych wnuków, dla czegoż mieszać ich uciechę, wołając koniecznie do rozumu: Nie wierzcie, to wszystko bajka!?... Jakaż jest rzeczywistość, któraby wartą była owych powabów, owéj słodkiéj, niewinnéj radości, towarzyszącéj tym cudownym zmyśleniom?... O, strzeżmy się tego kroku; wszystkie te legendy noszą piętno, jakiego bezkarnie naruszyć się nie godzi; a nadto każda z nich, jak zasłona, która twarz pokrywa, jak ciało pokrywające duszę, ma pod swoją, mniéj więcéj przezroczystą powłoką, jakąś myśl, naukę, przestrogę, Bóg wié nie co?... może nawet prawdę. *L....*

---

## M A J.

Błyszczy urokiem maj luby i miły,
Lśni się purpurą przyrodzenia szata;
Duch ją wieczności, żywioł wiecznéj siły,
W tę krasę wdzięków oplata.
Wielkito malarz, w pędzle i farby bogaty;
Tło do obrazu zielono zmalował,
W grze farb tysiąca poumieszczał kwiaty,
Dusze i zmysły zczarował.
Świat ziemski wprawił w ramy błękitu,
Które chmur tuszem w zimie zcieniował;
W każden twór pędzla wlał czucie bytu,
Życiem malował.
Duchu ożywczy w czasie i przestrzeni,
Tyś z krat żelaznych jadu i zniszczenia
Wyłamał świat życia i tchnienia
Wśród własnych tchnieni.
Boże, malarzu! Pędzlem dotknąłeś natury,
I życie wstało;
Kropelkę farby puściłeś z góry,
I szatę wdziało.
Co za urok Twego dzieła!
Gra kolorów miga tęczą,
Każda trawka duszę wzięła,
Wszystkie chwałę Mistrza wieńczą.
Mistrz im życie wieczne daje;
By go wiecznie mogli chwalić;
Czas na pory roku kraje,
Aby wieczność ich ustalić.
Co za wzniosłe *amalgama!*
W porach roku twór istnienia,
Wieczna siła odmłodnienia.
O naturo! na twém łonie
Nieśmiertelność ziemska płonie,
Wieczne życia *panorama.*
Jednoż ty pisklę strawą zaziemską karmione,
Patrzéć będziesz na naszę ziemię ukochaną,
Jak na padół, gdzie życie napastnie rozdano;
Ażeby kałem cierpień na wieki zgnojone,
To życie, do życia już więcéj nie wstało,
Jak ciało?
Możeszli duch twój zacny uwierzyć w te szaty,
Które tworzył w pijaństwie umysł zagorzały;
Na skrzydełkach nadziei wynosząc z téj ziemi
Wszelkie uciech błyskotki do wyższéj krainy,
Nam walczyć kazał nago z burzami srogiemi,
Wierząc w przesąd, że ciało jest utworem z gliny?
O człowieku! Myśl ludzkości
Wyższa nad medików dusze wypłowiałe,
Co przez własne nikczemności
Zbrudziwszy lampę żywota,
Chcą, by świata życie całe
Podobne było do błota!
Chociaż człowiek bez pór roku
Nie zna siły odmłodnienia,
Włos raz zsiwiały barwy nie odmienia,
I starość przyspiesza kroku;
Ludzkość wszakże nie starzeje,
Młodém życiem wiecznie tleje;
Bo miłości silna władza
W nowy twór byt nasz przeradza;
A ta latorośl młodzieńcza,
Na ziemskiego bytu osi,
Szron starości laurem zwieńcza,
Byt nasz za groby przenosi.
Drzewo życia na téj ziemi,
Szumi liściem pokolenia;
U stóp miłości ołtarza
Twór się we tworze powtarza,
Życia falami nowémi
Wieczną wiosnę rozzielenia.

KORNEL MALCZEWSKI.

---

## ZABOBONY
### ISTNIEJĄCY MIĘDZY LUDEM PROSTYM
### W GALICYI.

Od lat kilkunastu trudniąc się zbiéraniem i wyszukiwaniem różnych zabytków starożytności, tyczących się narodu ruskiego, zamieszkałego w Galicyi, starałem się, ile możności dociekać zabobonów, istnących od czasów bałwochwalstwa między tym wielkim narodem, któreto zabobony pilnie gmin stara się ukrywać, ja zaś w wielkiéj zażyłości żyjąc z tymże, zebrałem niektóre, i tu badaczom zabytków starożytnych Sławian pod rozwagę podaję:

1. Nowo-narodzone dziecię. Dziecięciu nowo-narodzonemu, gdy je z pierwszéj kąpieli wyjmują, jeżeli jest płci żeńskiéj, dają igłę z nitką nawleczoną, jeżeli zaś męzkiéj, batog, parę ziarn żyta i pszenicy do ręki; potém polecają nowo-narodzone opiecę bóstwa, pierwsze, by była dobrą i rządną gospodynią, drugie zaś dobrym gospodarzem.

2. W wigilię Ś. Jędrzeja. Po zachodzie słońca wieczorem zbiérają się kilkanaście dziéwek do jednego domu, i idą razem po wodę. Tam każda nabiéra z krynicy pełną gębę wody, i tak niosą na miejsce schadzki. Przyszedłszy, wylewają wodę do mąki, w nieckach na ten koniec przygotowanéj. Miszą ją łokciami, śpiewają smutną jakowąś pieśń, osobliwie dają się często słyszéć słowa: »*Łado, Dana, Dyna*,«[1]) i robią kołacze, tak zwane *bałabuchy*. Każda tyle dla siebie robi, ile jéj zdaje się miéć sobie we wsi przywiązanych chłopców. Gdy upieką, musi je chłopiec mały wyjąć z pieca. Smarują takowe tłustością, kładą w obwód na środku izby i zwołują psów domowych. Każda dziéwka w największém oczekiwaniu stoi i uważa, czyli jéj bałabuchów pies nie chwyci. Potém wypędzają psa na dwór, lecą hurmem za tymże i rachują koły w płocie. Powracając nazad, mierzą bótem od stołu do proga, t. j: jeżeli podeszwą na próg wypadło, to niezawodnie w zapusty pójdzie za mąż, jeżeli zaś cholewą — musi biedna siedziéć cały rok panną. Gdy któréj nadzieja w obuch razach spełzła, zabiéra swoje *bałabuchy* do domu, i to samo powtarza, próbując na nowo szczęścia. O północy wybiega znowu każda dziéwka tylko w koszuli, mając w prawéj ręce garść siemienia konopnego — słucha, z któréj strony psy we wsi szczekają, w urojeniu, że z téj strony w zapusty swaty do niéj przyjdą. Potém sieje konopie, zdejmuje z siebie koszulę, włóczy takowę, i mówi: »*Andryju, Andryju, konopli na tebe siju, soroczkoju wołoczu, wydaty sia choczu. Ne daj dowho' czekaty, skaże skiém budu ich braty.*« Nic wiém, czy ten ś. patron ich wysłuchiwa?

3. Kąpanie się w wielki Czwartek. W wigiliją wiel. Czwartku zbiérają się sprzyjaźnione, dorosłe dziéwki przed wschodem słońca, idą do rzék lub stawów, tam oczekują wschodu jutrzenki. Jak tylko pokaże się na widokręgu, zdejmują z siebie prędko odzienia, skacząc w wodę rzucają wlosy z warkoczów, i mówi każda obróciwszy się ku wschodowi: »*Wodane! na tobi rusu kosu, daj myni diwoczu krasu; daj krasu dennyci* (jutrzenki), *bym buła borzo mołodyci.*« Majątoto robić i stare baby, lecz w innych zamiarach. Robią i inne zabobony, lecz tu je wymienić przyzwoitość nie pozwala. Ma to być także środkiem od różnych wrzodów. Kto wié, czyli Wodan sławiański oraz nie był i hydropatą...

4. Palenie dziadów, czyli *dziąduchów*, w drugi dzień Bożego Narodzenia. W drugi dzień Bożego Narodzenia zbiéra każdy gospodarz przed wschodem słońca, słomę i siano, które było usłane w chałupie, podczas święta pierwszego dnia Bożego Narodzenia, te wynosi na swój ogród; za nim idzie czeladź płci męzkiéj, i tam zapala ową słomę. Wszyscy skaczą przez ogień i mówią: »*Pek, ossyna od nas zczezaj; Świst, świst u nas probuwaj.*« Spominają czasem bożyszcze *Perun*. Płeć żeńska ma to także robić, lecz nie natrafiało mi się widzieć. To wszystko nazywają: *Dziéduchy pałyty*.

5. Zabobon w zamiataniu chałup u dziéwek. Dziéwka podczas umiatania chałupy pod żadnym pozorem do innéj czynności nie weźmie się, dopóki całkiem umiatania téjże nie ukończy, będąc w przesądzie, że gdyby do innéj roboty oderwaną została, w karczmie podczas muzyki kawaler w środku tańca ją opuści, co wielką zniewagę oznacza dla dziéwki, i długi czas na hulankę pokazać się nie może. Przy wyrzuceniu śmiecia mówią jakieś zabobonne słowa, lecz tych nie mógłem dociec.

6. Zabobon ze święconém na Wielkanoc na Wołyniu i nad Bugiem. W wiel. Sobotę każda gospodyni, gdy ma kołacze w piec sadzić, wypędza domowników swych z chałupy, i tylko sama zostaje. Czarownica zaś piecze kołacze w wielki Piątek w nocy. Gdy je w piec wsadzi — wyjeżdża kominem na łopacie na Łysągórę na *sobótkę*, czyli radę, gdzie każda co roku stawić się musi podówczas, pod karą stracenia mocy czarowania. To nazywają *sobótką*, z powodu, że z piątku na sobotę się dzieje. Po północy ma powrócić i wyjmuje kołacze. Gdy święcone do domu z kościoła przynoszą, obchodzi gospodarz trzy razy na około zabudowania swego, potém wnosi do chałupy. Tu zasiadają i jedzą przy zapalonéj świécy. Odrobiny pozostałe chowają pilnie, i te w wodę rzucają, szepcąc jakoweś niezrozumiałe słowa. Niektórzy palą te pozostałe szczątki i zakopują na rogach domów. Są bowiem w mniemaniu, że gdyby odrobiny pozostałe mysz zjadła, każda staje się niezodzownie niedopérzem, któregoto czarownice do swych zamiarów najczęściej używają, a osobliwie do czarów ujęcia sobie mężczyzn, ponieważ niedopérz ma w sobie miéć pewną kość, zwaną *grabki*, któremi białogłowa może przyciągnąć do siebie mężczyznę, widełkami zaś od siebie odepchnąć..

7. Zabobon poznawania czarownic. Każda kobiéta, chcąca zapobiedz odbiérania mleka swym krowom przez czarownice, bierze w séropustną niedzielę (ostatni dzień zapust), kładąc się spać, kawałek séra do ust na noc, i trzyma troskliwie, aby go podczas snu nie wypuściła. Po północy zawiązuje w szmatkę i nosi cały post wielki przy sobie. Przyszedłszy na zmartwychwstanie (resurekcyję) pańskie do kościoła, poznaje za pomocą przy sobie noszonego séra wszystkie czarownice, które skopce na głowie zaczarowane mają, i których ludzie obok stojący nie widzą. Poznawszy tym sposobem wszystkie czarownice, znajdujące się w całéj wsi, nakurza każdéj swéj krowie wymię gumą, zwaną *Assa foetida*, która jest przeciwnym środkiem na czary, i któregoto smrodu czarownice unikają.[2])

8. Zabobon podczas grasującéj zaraźliwéj choroby. Podczas zaraźliwéj grasującéj w kraju choroby, ob-orują mieszkańcy te okolice, w które jeszcze słabość się nie wkradła, a to się dzieje następującym sposobem: Lemiesz, czyli pług, musi od 8méj do 12stéj godziny w nocy być ukończonym, przy któréj robocie, tak majster jak też i pomocnicy nago być muszą. Drzewo na osadzenie pługa musi być jednostajne czyli całkowite, jak mówią, z natury *rosochate* czyli samorodne, bez żadnego kawałka. Do zaprzęgu używają parę kotów czarnych, tyleż kogutów, psów również z czarnych matek spłodzonych, parę byków, i parę chłopców bliźniąt do pługa i poganiania. Ob-oranie zaś następującym sposobem

[1]) Dziéwki ruskie te pieśni w wielkim sekrecie trzymają i nigdy w obecności mężczyzny śpiéwać nie będą.

[2]) O »Odbiéraniu mleka przez czarownice;« jakoteż »O myciu dzwonów,« obacz. Rozm. Nr. 42 z r. 1835.

przedsiębiorą: Najprzód zaprzęgają do pługu byki, potém psy, daléj koty, a nakoniec koguty. Tym tak śmiesznym zaprzęgiem za uderzeniem 1széj godziny po północy (bo do téj tylko duchy mają moc), w towarzystwie mnóstwa zabobonnych mieszkańców, zaczynają cały obwód wsi lub okolicy ob-orywać, co trwa aż do wschodu zorzy porannéj. To ob-oranie przez trzy nocy powtarzają. — Podczas cholery probowano tego zabobonno-sympatycznego *remedium* w pewném mieście. Naród upojony tą zabobonnością, nie obawiał się téj tak strasznéj choroby, jednak po niejakim czasie, i ten zabobon nie pomógł — padło dosyć ludzi ofiarą śmierci.

9. Zabobon wiejskich kobiét w wigiliję Bożego Narodzenia. W wigiliję Bożego Narodzenia, nim mają siadać do wieczerzy, zbiera gospodyni z wierzchu garnka pszenicę gotowaną, tak zwaną *kutię*, wychodzi do sieni, tam robi obwód kredą, zdejmuje z siebie dużą krajkę, którą jest ku temu celowi opasaną, i okręca tenże, w środek sypie ową *kutię*, zwołuje kur, sama się obraca na wszystki cztéry części świata, i woła: »*Dywyno, Dywyno, Dywyno! na tobie perstynec; a ty mni daj bohato jajec!*« W tém rzuca pierścionek, zrobiony z ogona czarnego koguta, między gromadę kur.

10. Zabobon na weselu. Między innemi zabobonami na weselach, których jest mnóstwo, [3]) panuje następujący na Wołyniu i w niektórych okolicach Galicyi między gminem prostym: Nim mają iść do ślubu, prowadzą krewni obojga nowożeńców do stodoły lub szopy; drużbowie niosą suknie ślubne pana młodego, a drużki panny młodéj, jeden zaś z krewnych dwie konewek wody czystéj. Na drodze śpiewają: »*Oj Łado Łado*, [4]) *oj Dana Dana, idem do pana, do pana Wodana; szczoby nas oczystył i nas błohosławył.* Przyszedłszy do stodoły, drużbowie i drużki wychodzą za drzwi, te zamykają i tylko krewni młodych pozostają. Państwo młodzi rozbiérają się całkiem nago; młodę polewają kobiety, a młodego mężczyzni, obwlekają w suknie ślubne, skaczą około tychże i śpiewają: *Oj Łado Łado, oj Dana Dana, harnyj nasz panycz, harna i panna.* W tém wychodzą ze stodoły i śpiewają, idąc do izby: *Wydiłysmo, baczyłysmo, sam Ziwe błohosławy nam.* [5])

11. Zwyczaj warty do naśladowania. Na Wołyniu i w niektórych okolicach obwodu żółkiewskiego i złoczowskiego, graniczącego z Wołyniem, jest ten zwyczaj, że trzasek, zostających od robienia trumny, nigdy nie używają do palenia, lecz po pogrzebie wynoszą je na ulicę i wysypują pod płot na kupę. Przechodzący żebracy i mieszkańcy wsi spominają zmarłego i zanoszą modły do Twórcy za duszę jego, ile razy przechodzić muszą koło owych trzasek.

Pisałem w Horodence 1836. *Mirosław* —

* * *

P. Oleszczyński, znany rytownik, wydaje dzieło: »O sztukach pięknych w Polszcze.«

Waleryjan Krasiński zajmował się przerobieniem romansu Bronikowskiego: *Hipolit Boratyński*, na dramat w języku angielskim, pod tytułem: *Sigismund Augustus*. Sztuka ta miała być przedstawioną w miesiącu lutym na teatrze *Coventgarden*. Lord Dugald Stewart trudnił się gorliwie rozprzedaniem biletów.

P. Biernacki, założyciel rozumowego gospodarstwa w Polszcze, zbadawszy ląd stały pod względem ekonomicznym, udaje się teraz do Anglii dla zebrania materyjałów, które mają uzupełnić dzieło jego o gospodarstwie narodowém, na jakiém nam zupełnie zbywa.

W teatrze *Drurylane* nowa sztuka: *Chevy-Chase*, robi niezmierną furorę. Zbytek wystawy dla zmysłów przewyższa wszystko, co dotąd było widziane, lecz nic nie ma w téj sztuce dla serca i rozumu; teatralna krytyka angielska ubolewa nad zponiewiéraniem sceny narodowéj, która się teraz tylko dużémi, czerwonémi afiszami zaszczyca, i gmin, jak ptaki na lep łowi, a o jego uszlachetnienie istotną drogą sztuki dramatycznéj bynajmniéj nie dba, i dbać nie zdoła.

W Liwerpolu pojawiła się *persona publica*, która się *Hypnologist*ą mianuje. Wynalazła ona system, na bezsenność chorującym, bez wszelkiego opium, bez wszelkich lekarstw zdrowy sen sprowadzać; gazeta donosząca o tém, dopuszcza możliwość tego systematu, lecz się obawia, aby sam wynalazca nie zasnął.

W Dublinie umarł nie dawno człowiek, który, jak się zdawało, w największym żył niedostatku; ale po jego śmierci znaleziono testament, przekazujący summę 10,000 funt. sztrl. takim ubogim tegoż miasta, którzy się z powodu nędzy już na drodze rozpaczy znajdowali. Wyraz jego ostatniéj woli był następujący: »Mając przeświadczenie, żem bogaty, łatwo mi było zrzekać się rzeczy najpotrzebniejszych. Dobrowolna nędza nie ciężyła mi, bom wiedział, iż mam środki, wszystkim potrzebom i życzeniom swoim zadość uczynić. Przekonanie o istotnéj nędzy, jest okropne, do rozpaczy wiodące. Byłem w ostréj szkole boleści, umię z doświadczenia o tém sądzić. Niebo dało mi majątek. Znosiłem z radością wszelki niedostatek i ubóstwo, bo przeświadczenie o moim majątku, który miałem, sił mi dodawało. Dla tego zapisuję cały swój majątek tym ubogim, którzy istotną nędzą znękani, zaród rozpaczy w sercu swojém noszą.«

W ces. rossyjskiéj szkole rolniczéj doświadczono różnych sposobów przechowywania kartofli; za najlepszy i niezawodny sposób uznano: *przechowywać je pod wodą*.

Podczas nie dawnego pobytu książąt francuzkich w Berlinie, rozeszła się pogłoska, iż ci książęta swoją obecnością teatr zaszczycą. Daną być miała opera Spontyniego: *Alcidor*. Publiczność tłumem się cisnęła na przedstawę; ale skoro się dowiedziano, że książęta podróżą utrudzeni na operze, nie będą, publiczność cisnęła się do wychodu, a parter i loże zaczęły się stawać pustkami; śród tego zamieszania podniesiono kortynę, a zdarzenie chciało, iż śpiewak zaraz na wstępie zaczynał aryję od tych słów: »O ty pustynio zgrozy pełna!« Pozostała część publiczności, biorąc te słowa za przycinek, zastosowany do wypadku, obsypała hucznym oklaskiem śpiewaka, parter i loże znowu się napełniły, śpiewak był zniewolony powtarzać aryję kilkakrotnie, a publiczność rozweselona słuchała opery aż do końca.

Niechże kto powié, że széroki rękawy i odęte suknie, które teraz damy zwykle noszą, są wymysłem niepotrzebnym. Są to raczéj szaty czarownic, zaklęte, i od potopu chroniące! Pewna młoda dama w Antwerpii bawiła się przechadzką na pokładzie okrętu falami kołysanego; przypadkiem chybnęła się, i wpadła w morze. Krzyk przestrachu rozległ się szeroko, ale usłużne powietrze rozłożyło széroki faldy sukni, a młoda piękność, jakby on łabędź, stérowała po srébrnych nórtach tak długo, aż po nią łódź zdążyła; na brzég wyniesiona i z okrzykiem przyjęta, oświadczyła obecnym, że piérwszy raz uczuła rozkosz żeglugi romantycznéj.

3) Łukasz Gołębiowski w swém dziele: »Lud polski, jego zwyczaje, zabobony. Warszawa, 1833,« spomina mnóstwo zabobonów. Równie można widzieć w dziele J. Łozińskiego: *Ruskoje wesile*; Przemyśl, 1835.

4) Warto, aby badacze starożytności oświécili naród sławiański, co znaczyły bożyszcza: Łado, Dana lub Dyna, Wodan (Neptun?), Ziw.

5) W Galicyi ten zabobon ustał i tylko potajemnie robią, na Wołyniu zaś, około roku 1820, sam byłem świadkiem w blizkości Bugu.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.